

# U Borella i w Nowej Hucie

**K**to by pomyślał, że chałturowe przedstawienia aktorów teatrów krakowskich urosną do rangi problemu teatralnego? Henryk Vogler napisał w związku z tymi przedstawieniami ze wszechmiar słuszne zdanie „Czas byłby pomyśleć w Krakowie o stałym Teatrze Komedii, czy nawet Farsy. Obawiam się jednak, że taki teatr nie dałby tylu premii, co inicjatywa nieoficjalna aktorów, organizujących przedstawienia nie objęte planem etatów aktorskich.

Do takich refleksji zmusza przedstawienie „Przedszkola miłości” Leopolda Borella na scenie kameralnej Teatru im. Słowackiego. Owa farsa wzbudziła zrozumiałe zainteresowanie widzów teatralnych. Nie ma się czemu dziwić. Głód tzw. lekkiej sztuki zaspakajany jest niestety dorywczo i dopiero ostatni rok przyniósł ulewę nadprogramowych przedstawień aktorów, którzy powodowali się po prostu względami finansowymi. Borell — jeden z najpłodniejszych pisarzy krakowskiego środowiska, jeszcze raz udowodnił, że „teatralnym piórem” włada doskonale. Nie sili się przy tym na żadne rewelacyjne chwytły, idzie utartymi szlakami farsy i komedii chybcającej, porusza widownię, daje możliwość aktorom ukazania siebie nie tylko od strony ciężkiej roboty aktorskiej. (Choć wcale nie jest lekko „zrobić” dobrze postać

w borellowskiej komedii). Autor wybrał temat stary jak świat. Pokazał jego najzupełniej współczesną „obudowę” — metody zdobywania kobiet. A więc można działać tutaj na „intelektualnie”, na „fajtiapę”, na zakochanego „mydika”. Dobre rady dawane przez Zaczycyka (Julian) — Pietruskiemu (Karol) odwróciły swoją skuteczność, jeśli chodzi o działanie wobec Marty Stebnickiej (Ewa) i Ireny Szramowskiej (Małgorzata). Aktorzy zdumiewająco swobodnie po latach grania w ciężkich, poważnych sztukach — podeszli do „Przedszkola miłości” Leopolda Borella. Świadczy to tylko o możliwościach artystycznych krakowskiego środowiska aktorskiego. Artyści nasi potrafili się „przestawić” grając lekko, swobodnie, z wdziękiem. Przewodziła ich zresztą doświadczona ręka Lidii Zamkow, która nie cofała się przed potrzebną przesadą w scenach z bruchomówcą i dziennikarzem, odwiedzającym zgnębionego niepowodzeniami miłośnymi młodzieńca, zapytując go o... szczęście. (Dobra rola dziennikarza w wykonaniu Ambrożego Klimczaka).

Farsa typu Borella może być przygotowana szybciej niż każde inne przedstawienie teatralne. Kiedy rozmawiałem z pewnym aktorem krakowskim, nagrodzonym w roku 1953 czy 1954 nagrodą państwową — otrzymałem w wywiadzie dla naszej gazety wypowiedź podkreślającą, że ak-

tor dawniej musiał grać nową rolę z tygodnia na tydzień. Oczywiście nie co tydzień grał „Wyzwolenie”, czy „Wizytę starszej pani”. Czasami przeważały właśnie farsy. Ale dzięki takiemu systemowi pracy (który powinien zainteresować również aktora od strony finansowej) można było mówić o wszechstronnym rozwijaniu warsztatu artystycznego ludzi teatru.

W ten sposób wesoła sztuka Borella stała się podłożem problemu teatralnego. Zastępuje na to tym bardziej że jest wesoła, lekka i dowcipna. A o to przecież tak strasznie trudno w naszym teatrze współczesnym.

**T**eatr Ludowy w Nowej Hucie dał w ostatnich dwu miesiącach szereg ciekawych wznowień swoich dawnych przedstawień. Wznowienia te stanowią dla mnie wielką satysfakcję. Potwierdza się zdanie wielu recenzentów, którzy mówili, że na pełne sukcesy Teatru Ludowego w Nowej Hucie (obejmujące zarówno zagadnienie aprobaty przez widownię nowohucką przedstawień Skuszanki, jak i sprawę finansów) trzeba będzie poczekać. Czekaliśmy, chwaliliśmy i słuszna sprawa zwyciężyła. Nie biorę pod uwagę tutaj wyjaśnienia dyr. Skuszanki drukowanego przez prasę krakowską, a dotyczącego spraw organizacyjno-finansowych. Chcę podkreślić jedynie (!) fakt, że mieszkańcy Nowej

Huty zupełnie inaczej reagują na „Księżniczkę Turandot” Gozziego, na „Jacobowskiego i pułkownika” Werfla, niż np. dwa lata temu.

Najbardziej klasycznym tutaj przykładem chyba będzie wznowienie „Turandot”. Kiedy pisałem o niej dwa i pół roku temu, w lutym 1953 r., zdawałem sobie sprawę, że między aktorami, którzy walczyli przeciwko naturalistycznej rupieciarzni, a widownią nie nastąpiło jeszcze pełne porozumienie. Dzisiaj jest zupełnie inaczej — widownia prawie że rozmawia z Brigella, Fulcinella. Chwyta dowcip zapisaną komedią dell'arte, inaczej reaguje na przebieg samej akcji, inaczej na publicystyczne dowcipy aktorów, którzy grając komedię o okrutnej księżniczce chińskiej, podkreślają całą konwencjonalność teatralnego ujęcia komedii Gozziego.

Jest się z czego cieszyć! Tym bardziej, że „Jacobowski i pułkownik” grany o wiele później niż Turandot nie stracił nic w swoim groteskowym ujęciu scenograficznym i reżyserskim. Po prostu ludzie wychowywani przez teatr Skuszanki rozumieją zasady działania Teatru. Po prostu wiadomo im już dzisiaj, że krzesło ustawione na stole w francuskiej knajpcie i groteskowe mundury Niemców służą zasadniczym celom zwrócenia uwagi widza teatralnego na problem polskiego pułkownika i żydowskiego emigranta — z unikiem podkreślenia makabry czasów okupacyjnych.

Przy „Jacobowskim” i „Turandot” Teatr Ludowy w Nowej Hucie daje „Zaklinacza deszczu” Nasha. Komedia ta cieszy się dużym powodzeniem. Powiedzmy szczerze realizatorzy spektaklu rezygnując w tym przedstawieniu z niepotrzebnego eksperymen-

tatorstwa — ani na cal nie zбочyli ze swojej raz obranej drogi. „Zaklinacz deszczu” leży na linii rozwojowej Teatru Ludowego w Nowej Hucie — świadczy o tym zarówno gra aktorów, jak i scenografia Szajny. Miko jest pisacem o udanym doświadczeniu. Znalazło ono poparcie widowni miasta, które mieni się miastem najmłodszym oraz równocześnie miastem ważnym w kształtowaniu nowego oblicza naszego społeczeństwa.

\*

Teatr Ludowy jest potrzebny. Potrzebny jest Teatr Komedii. Spełniają one różne, ale potrzebne funkcje. (j)